Ostatni lotnik

W rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego opowieść Bryana Desmonda Jonesa – ostatniego lotnika 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki, zmarłego w tym roku w Johannesburgu, który w sierpniu 1944 roku niósł pomoc dla walczącej Warszawy.



Bryan Desmond Jones w 1944 roku.

Barbara M. J. Kukulska

Bryan Desmond Jones urodził się 29 kwietnia 1923 roku w Północnym KwaZulu – Natal w Południowej Afryce, zmarł w Johannesburgu 16 lutego 2017 roku.

Miał 21 lat, kiedy przeżył dramatyczne chwile ostrzelania jego samolotu przez Niemców. W tych ułamkach minut, kiedy ważyło się jego życie, podjął decyzję: „Jeśli wyjdę z tego żywy poświęcę

swoje życie Bogu!”

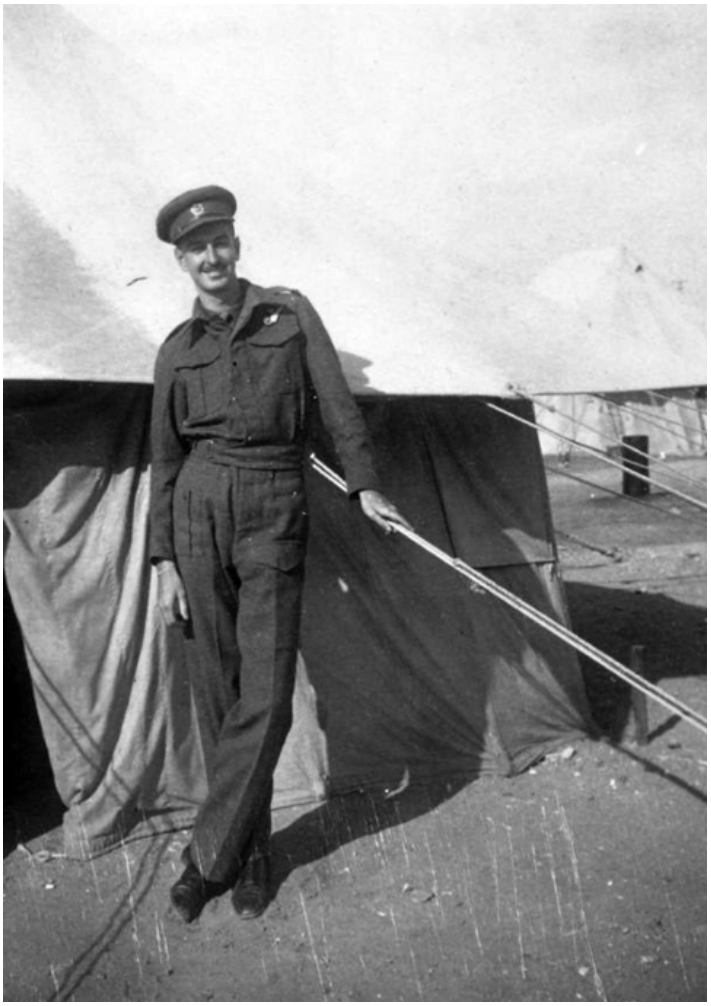
Dotrzymał obietnicy, został pastorem.

W czasie II wojny światowej podczas Powstania Warszawskiego należał do 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki. Był w stopniu porucznika, nawigator oraz bombardier. Jego zadaniem było ustawienie kursu, naprowadzenie samolotu na cel oraz zrzucenie ładunku.

Wstąpił do lotnictwa w wieku 17 lat, skończył szkołę i na początku 1942 roku rozpoczął pracę. W czasie wojny jego dywizjon stacjonował w rejonie pustyni egipskiej i stamtąd prowadzili ataki na Kretę – port i stocznie Heraklion. Później przenieśli się w okolice Ciolloni Foggia we Włoszech, gdzie prowadzili akcje w nocy, a ich głównym celem były silnie bronione pola naftowe. Atakowali też inne duże miasta takie jak Bukareszt, gdzie były zbiorniki z ropą naftową, rafinerie, Budapeszt i inne lotniska na Węgrzech.



Na szczycie piramidy w Egipcie w 1944 r. Bryan Jones pierwszy z prawej.



Bryan Jones na Bliskim Wschodzie, styczeń 1944 r,

Oprócz tego, raz w miesiącu wykonywali zadanie, jakim było zrzucanie magnetycznych min na Dunaju, które hamowały przepływ barek przewożących ropę naftową z Rumunii do Niemiec.

Akcja nad Warszawą była w nocy, księżyc świecił wtedy bardzo jasno. Lotnicy znaleźli wyznaczony obszar i zniżyli się na wysokość 30 stóp nad rzeką Wisłą. Komory bombowe były otwarte i wszystko było gotowe do zrzucenia min, ale…

Relacjonuje Bryan Jones:

> W momencie, gdy miałem nacisnąć spust uwalniający bomby, zauważyłem, że zaraz pod nami był inny samolot, tego samego kształtu jak nasz. Krzyknąłem do pilota: „Kapitanie, pod nami jest inny samolot. Nie możemy teraz zrzucić bomb". On odpowiedział: „W porządku" i zatoczyliśmy koło, by tam za chwilę wrócić.

Okazało się, że ten samolot poniżej, to… było odbicie w wodzie ich samolotu. Niemcy to wykorzystali i byli gotowi do ataku z brzegu rzeki. Nikogo z załogi nie trafili, ale samolot był posiekany od kul.

Bryan Jones nie znał Europy, ani sytuacji w jakiej się znalazła na skutek działań wojennych. Ten lot, był pierwszym nad Polską, o której nic nie wiedział. Dla nich, wówczas młodych chłopców, była to przygoda. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że może zostać zraniony, czy nawet zabity.

W sierpniu 1944 roku stacjonowali na lotnisku Ciolloni, obok Foggi, na wschodnim wybrzeżu Włoch.

W niedzielę 13 sierpnia została wywieszona czerwona flaga na kwaterze sztabowej.

Okazało się, że porucznik Dirk Nell wyznaczył 10 załóg na specjalną odprawę i znaleźliśmy też swoje nazwiska na liście. Pobiegliśmy więc do namiotów, zabraliśmy nasze rzeczy i wsiedliśmy do samolotów. Wszyscy byliśmy podekscytowani bo myśleliśmy, że mamy zaatakować południe Francji w czołowym natarciu.

Już to wcześniej robiliśmy i wiedzieliśmy, że to dla nas bułka z masłem, bo było to łatwe, więc byliśmy podekscytowani. Gdy czekaliśmy w kolejce by wystartować, podbiegł do nas Anglik ze spadochronem w ręku, był artylerzystą, i mówi: 'Czy mogę lecieć z wami?' Nasz pilot odpowiada: „Zapytaj porucznika", więc on odszedł, ale nie wiem czy w ogóle poszedł do porucznika, możliwe, że po prostu obszedł samolot dookoła i wrócił z drugiej strony. Mówi: „Porucznik się zgodził" więc powiedzieliśmy: „Wskakuj!" Myślał, że wybiera się na krótką wyprawę, a zajęło mu to cały rok zanim wrócił.

Wylądowaliśmy w Brindisi i poszliśmy do pokoju sali konferencyjnej RAF-u. Tam w poprzek sali wisiała mapa Europy i zszokował nas widok czarnej taśmy, jaką zaznaczano trasę, biegnącą wzdłuż Adriatyku, Albanii, do Rumunii, przez Węgry, Czechosłowację, nad Karpatami, aż do Warszawy. Pomyśleliśmy: „Wow! Kto jest na tyle szalony,

żeby tam lecieć?” Byliśmy już wtedy zaprawieni w bitwach, wykonaliśmy 12 lub 13 lotów do tego czasu i wiedzieliśmy, że nikt nie jest na tyle głupi, żeby się porywać na wykonanie tak niebezpiecznego zadania – lotu do Warszawy.

Rozpoczęła się odprawa. Dowódca skrzydła RAF-u wstał i powiedział zwyczajnie: „Panowie, celem waszym dziś jest Warszawa”. W tym momencie wszyscy westchnęli, nie mogliśmy w to uwierzyć. Gdy doszliśmy do siebie, dowódca powiedział: „Co więcej, będziecie dostarczać zrzuty dokładnie na teren Warszawy, więc będziecie musieli lecieć na wysokości dachów, żeby zrzucić zaopatrzenie prawie na dokładny adres ulicy”. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale taka była prawda.

Następnie poinformował nas, że w Warszawie jest powstanie. Nie powiedział nam, jaka jest sytuacja polityczna, ani, że Rosjanie podeszli pod Wisłę, ale odmówili pomocy. Nie powiedział nam też o wątpliwościach naszego przełożonego porucznika brygadiera Durrenta, ani, że Churchill wydał taki rozkaz. Ledwo wiedzieliśmy, gdzie Polska leży, ale kazano nam lecieć. Właśnie do takich zadań zgłosiliśmy się na ochotnika, gdy zapisywaliśmy się do lotnictwa, więc polecieliśmy.



Załoga SAAF B-24 Liberator EW105, siedzący pierwszy z prawej Bryan Jones, nawigator i celownik bombowy.

Bryan Jones brał udział tylko w jednym locie nad Warszawą w dniu 13 sierpnia 1944 roku. Leciał Liberatorem, produkcji amerykańskiej B-24, którym wystartowali z bazy o godz. 18:30, mieli zrzucić zapasy, których pilnie potrzebowano w walczącej Warszawie. Była to broń, amunicja, środki opatrunkowe i lekarstwa.

W czasie odprawy przyszedł specjalista od meteorologii i powiedział, że pogoda nie jest najlepsza. Ale to było mało powiedziane, pogoda była przerażająca. Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy: pod koniec odprawy dowódca skrzydła zaprosił polskiego dowódcę dywizjonu kpt. Szostaka, by wygłosił mowę. On powstał i w bardzo emocjonalnym tonie powiedział: „Mój kraj, Polska, ma poważne kłopoty. Proszę was – obywateli Wielkiej Brytanii i RPA – o pomoc dla Polski".

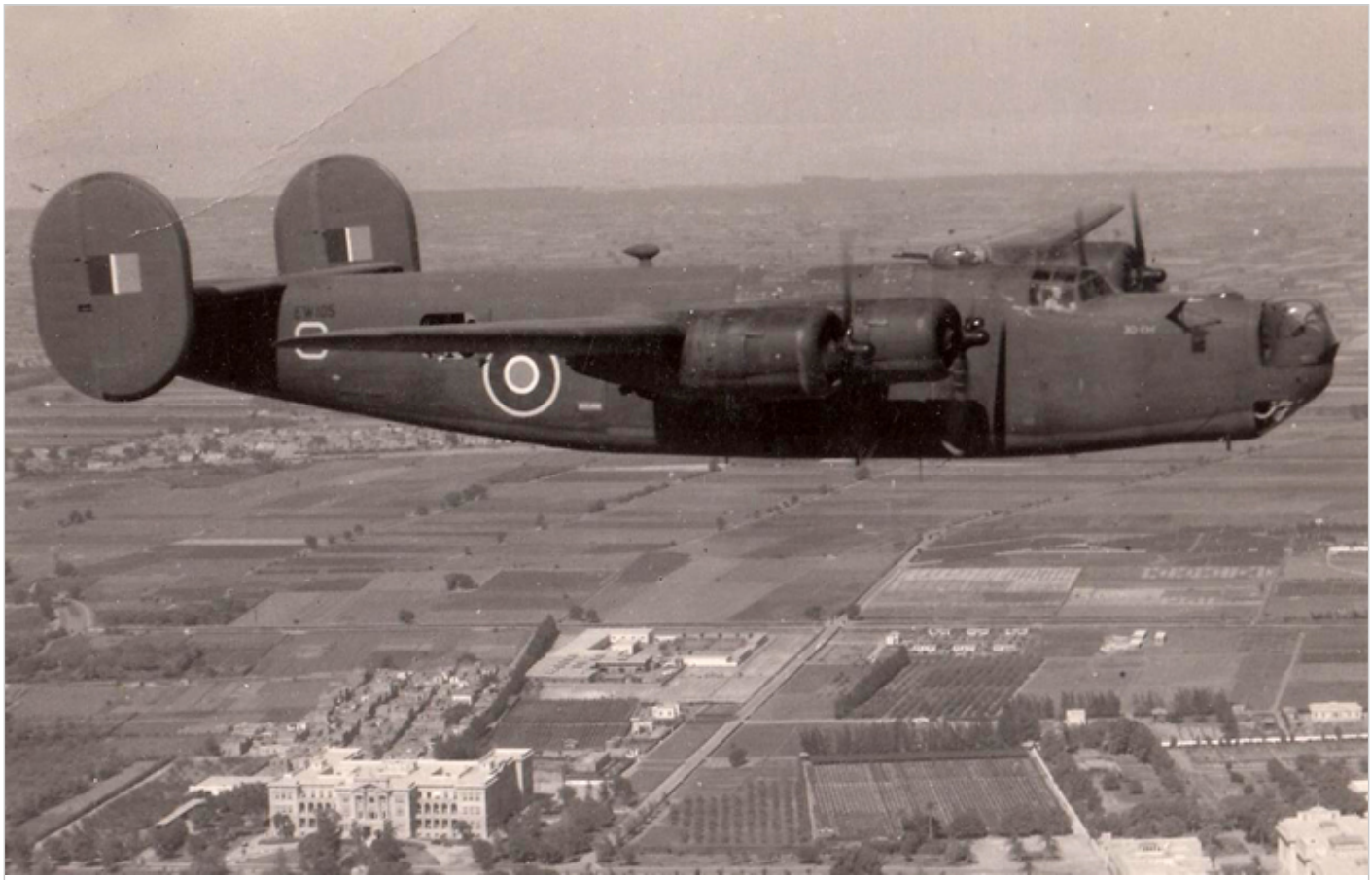
Dla nas, młodych ludzi, brzmiało to bardzo poważnie, i naprawdę poruszyło nasze emocje. Ale to oświadczenie to był dopiero początek, a z pewnością w moim przypadku, ogromnego podziwu dla Polski i Polaków.

Pogoda była straszna!

Lecieliśmy zataczając się z pełnym zbiornikiem, ciężkimi zapasami i nas siedmiu mężczyzn na pokładzie. W końcu dolecieliśmy nad Karpaty, jakoś przedarliśmy się przez nie.

Niebezpieczeństwem były oblodzone skrzydła, a raczej ich krawędzie, które ciągnęły samolot w dół. Gdy przelecieliśmy nad Karpatami zniżyliśmy się i przed sobą zobaczyliśmy ponury blask, i zorientowaliśmy się, że to płonąca Warszawa.

> Muszę tu zaznaczyć, że jako nawigator byłem z siebie zadowolony bo lecieliśmy na ślepo w chmurach, a jak się wyłoniliśmy, byliśmy na właściwym kursie, a tam był nasz cel.



Liberator EW105 z 31 dywizjonu został zestrzelony nad Warszawą w nocy 13/14 sierpnia 1944 r.

Lecieli nad Karpatami. Mieli ostrzeżenie, że muszą uważać, bo są tam samoloty myśliwskie. Warszawa widoczna była z daleka, gdyż nad miastem unosiły się płomienie i dymy. Kiedy znajdowali się nad Wisłą zostali zaatakowani i stracili jeden silnik.

Pomimo tego pragnęli wykonać zadanie zrzutu nad wyznaczonym miejscem, którym były okolice Starego Miasta. Wypatrywali punktu, gdzie ktoś miał dawać sygnały lampkami. W płomieniach, dymie i ostrzeliwaniu nie było nic widać. Wykonali obliczenia i ustawili kurs zgodnie ze szczegółowymi mapami.

Byli oświetlani reflektorami, ostrzeliwani i słychać było huk uderzających pocisków w samoloty. Rzeka zakręcała, a przed nimi widać jakby wystrzeliwały fajerwerki. Pomimo tego kierowali się do wyznaczonego celu. Lecieli z otwartymi komorami bombowymi na wysokości 120 do 150 metrów nad ziemią z prędkością zaledwie 135 mil (taki mieli rozkaz).

> Wcześniej powiedziałem, że byłem bardzo religijnym człowiekiem, wierzyłem wtedy, że Bóg istnieje i że jestem w jego rękach.
>
> Miałem świadomość, że nie jestem sam w samolocie, byli tam nie tylko moi koledzy, ale był też Bóg.
>
> Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego inni zginęli, a ja nie. Ale, dla przykładu podam taką sytuację: leżę tam na podłodze, czytając mapę i instruując pilota „w lewo, w lewo, w prawo” i nagle słyszę jak ktoś do mnie mówi: „Hej, Jones, załóż hełm”,

Wszyscy mieliśmy obowiązek nosić stalowe hełmy, ale nigdy ich nie nosiliśmy, gdyż są ogromne i głowa się w nich obija. Zawsze je zdejmowaliśmy i rzucaliśmy na podłogę. Ale wtedy ktoś powiedział: „Hej, Jones, załóż hełm”. Wyciągnąłem więc po niego rękę, wciąż patrząc przed siebie, i założyłem go na głowę.

Nie chcę kreować wrażenia, że się nie bałem, gdyż bałem się. Ale byłem tak pochłonięty obliczeniami, robieniem zdjęć i czytaniem mapy, że nie pamiętam strachu. Pamiętam tylko, jak pociski uderzały w samolot, i artylerzystę krzyczącego z tyłu: „Kapitanie, dostałem w ramię, nie mogę kierować działem”. Zawołaliśmy tego Brytyjczyka, którego zabraliśmy ze sobą i powiedzieliśmy, żeby zabrał stamtąd rannego i zajął jego miejsce. Tyle pamiętam. Ale proszę nie myśleć, że byłem taki odważny, serce mi waliło, tylko po prostu byłem zbyt zajęty – i to mnie uratowało.

W momencie, kiedy dokonaliśmy zrzutu, poczuliśmy jak samolot poderwało do góry. Zamknęliśmy komorę bombową, zwiększyliśmy prędkość i lecieliśmy do domu. Podałem kurs pilotowi, który obliczyłem już wcześniej, więc kapitan go ustawił i próbowaliśmy wrócić do Włoch. W tym momencie odstrzelono nam drugi silnik. Zostały jeszcze dwa.

Nagle, w samolocie zapanowała ciemność. Okazało się, że

> cała hydraulika samolotu też została odstrzelona, nie mieliśmy światła. Ale wciąż próbowaliśmy wrócić do Włoch. Nie było mowy o tym, żeby postawić przednie koło i lądować. Nie, wracaliśmy do domu. Ale wewnątrz samolotu wszystko chrobotało, słychać było hałas ścierania, i samolot wylądował na lotnisku w Warszawie.

Wywiad z Bryanem Desmondem Jonesem o zestrzeleniu jego samolotu nad Warszawą podczas przygotowywania zrzutu dla walczących Powstańców:

Samolot wylądował prosto, ale zarył się w ziemię, silnik ucichł. Bryan Jones stracił na chwilę przytomność, ale nałożony hełm uratowal mu życie. Niemcy na lotnisku zapalili reflektory i zaczęli ich ostrzeliwać.

> Bałem się. Leżeliśmy tam, a oni cały czas nisko strzelali. Pamiętam wyraźnie, jak pomyślałem: Jest niedziela wieczór, moi rodzice są teraz pewnie w kościele w Derbin, i modlą się „Prosimy, opiekuj się naszym chłopcem".
>
> Zawarłem wtedy układ z Bogiem – co za tupet! – powiedziałem: „Panie, boję się. Jeśli zabierzesz mnie z powrotem do Południowej Afryki do mamy – to wstąpię do kościoła i zostanę pastorem. Proszę cię, Panie".

> Jest to zupełnie inne doświadczenie dla lotnika być schwytanym, niż dla żołnierza, ponieważ jest się przyzwyczajonym do latania i bycia wolnym, a tu nagle nie tylko znajduję się na obcej ziemi, ale też nie jestem w ogóle przyzwyczajony do bycia na ziemi. I pamiętam, że w duchu, jak mały chłopiec, przerażony wołałem: „Mamo, patrz co oni mi robią".
>
> Dokładnie tak, jak wołałem, gdy byłem małym chłopcem w szortach. Ale moja mama była daleko, mój dywizjon był we Włoszech, a ja byłem sam.

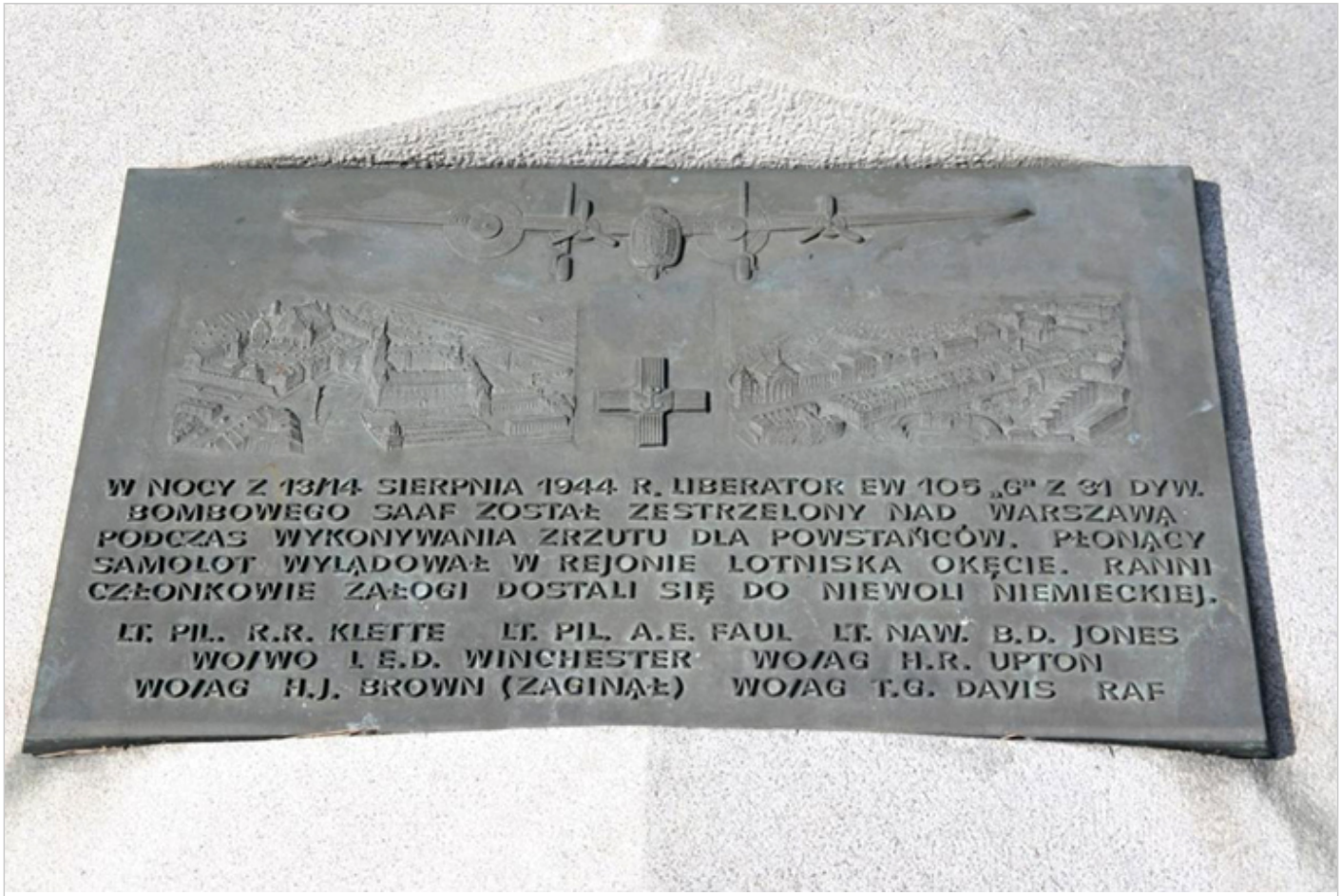
Zostali zaaresztowani i osadzeni w więzieniu. Bryan Jones przeżył koszmar przesłuchań, złego traktowania, przewożenia pod eskortą z jednego obozu jenieckiego do drugiego.

Po wyzwoleniu Polski, wrócił do Południowej Afryki i po wielu latach dotrzymał przyrzeczenia. Został pastorem.

> Los był dla mnie łaskawy, nie chcę powiedzieć, że miałem szczęście, bo w to nie wierzę.
>
> Bóg ma plan dla każdego z nas, a jego plan dla mnie, był taki, że miałem przejść przez to piekło w Warszawie – Gestapo i reszta. Miał dla mnie taki plan i chciał, żebym go

posłuchał.

I gdy teraz patrzę z perspektywy na to, jak to wszystko się skończyło, myślę, że to było cudowne. Nie miałem z tego pieniędzy, ale mogłem pomagać ludziom w kościele, wykorzystać do tego swoje doświadczenia.



Tablica na lotnisku im. F. Chopina w Warszawie upamiętniająca zestrzelenie samolotu, którym leciał Bryna Jones nad powstańczą Warszawą w 1944 r., fot. Hubert Kuberski.

Źródło:

www.biltongbru.wixsite.com/ww2-saaf-heritage

http://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/bryan-desmond-jones,1949.html

Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” w Johannesburgu, RPA, nr 637.

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja

Melchiora i Zofii Wańkowiczów.



Melchior Wańkowicz z żoną i córką, 1960 r., fot. PAP.

Mirosława Pałaszewska

Znany pisarz i reportażysta Melchior Wańkowicz poznał swoją przyszłą żonę Zofię z Małagowskich w Krakowie w 1914 roku poprzez jej braci. Przyszły autor *Szczenięcych lat* i *Ziela na*

kraterze kończył tam Szkołę Nauk Politycznych, a Zofia studiowała historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaręczyli się jeszcze tego samego roku. W grudniu 1914 napisał do Zofii:

> Ogarnia mnie zrozumiała, głupia i niepotrzebna duma. Patrząc na te wszystkie pary zaręczone i swatane na Litwie, na wszystkie panny i młodzież męską – i myśląc o nas – mam wrażenie, że to wszystko gdzieś tam w dole jest małe i nikczemne u nóg nam się roi.
>
> Wielki jest Pan Bóg i jakże rozliczne szczeble dusz ludzkich!
>
> Wracam na wieś; wracam po te parę słów od Pani, parę słów najobojętniejszych, które odsłonią mi może, co moja narzeczona myśli.

Pobrali się 8 lutego 1916 roku. Trzy lata później (8 października 1919) przychodzi na świat córka Krystyna, a 29 lipca 1921 roku – druga córka Marta (znana czytelnikom jako Tili). Przed narodzeniem Marty przyszły ojciec pisał 20 lipca: *To wprost fenomenalne rzeczy, co piszesz – jak jakiś cud Boży, jak kiełkowanie rośliny ten rozwój dziecka. Z głęboką czcią myślę o Tobie jako o matce.*

> Zofia Wańkowiczowa przebywa wówczas w Jerce, majątku dzierżawionym przez brata Melchiora – Witolda. Głowa rodziny mieszka w Warszawie przy ul. Elektoralnej 49/5. Korespondencja między małżonkami jest dość ożywiona. Bardzo ciekawe są listy pani Zofii cytujące zabawne powiedzenia i zachowania córek. Jesteśmy świadkami, jak dziewczynki rosną. *Twoje listy o dzieciach są moja najwyższą i jedyną właściwie przyjemnością* – podsumowuje Wańkowicz.

Proponując żonie przyjazd do Warszawy (po 6 latach małżeństwa) pisał:

> Będę oczekiwał u wyjścia na dworzec – zgięty u arkady nisko, niziutko – jeśli p. Fryze pójść poczekać pozwoli. Potem pocałuję w rękę i będę iść za Tobą do naszego domu, patrzeć na pochyłą linię szyi, gdzie rośnie ten najdelikatniejszy puch – i cicho cieszyć się. A w pewnej chwili Ty się odwrócisz i wejrzysz na mnie swoimi oczami jasnymi. Mój Boże!

A ona komentuje potem ten pobyt:

> Taki byłeś ładny, jak leżeliśmy na plaży w ostatni dzień

> wyjazdu mego. Chciałam Cię ucałować, ale się speszyłam. Obejmuję serdecznie.

Zachowane listy z okresu przedwojennego pani Zofia opatrzyła słowami:

> W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia.

Świadczą o tym słowa Melchiora, które przekazał Zofii jej ojciec:

> Mel upatruje w Tobie cnoty, przymioty, talenta prawdziwie wszelakie, o które ja, Ojciec, nawet nie podejrzewałem Cię.

Kiedy już zamieszkali razem w Warszawie on został Kingiem (podczas czytania dziewczynkom *W pustyni i w puszczy* na pamiątkę słonia utkwionego w wąwozie i karmionego przez dzieci), ją nazywano Królikiem. W *Zielu na kraterze* Wańkowicz pisał*:*

> Mama-puszyste łapki – dzierżyła rządy tego Domeczku. Domeczku, w którym ludzie podobni byli do zwierzaków, a zwierzaki do ludzi. Przede wszystkim Mama sama nosiła przezwisko – Królik. To poszło od anegdoty o dwóch warszawskich Antkach, którzy sprzedawali na Kercelaku – jeden psy, a drugi króliki. Buldog zdławił królika, zrobiła się sprawa, a właściciel buldoga tłumaczył: „Panie władza – jak Boga kocham – to król zaczął. Buldog szedł spokojnie, a ten król na niego marszczył nosem – o tak!”
>
> Ponieważ „wilk okropnie „zły” nieraz wybuchł: „Bo ty zawsze zaczynasz”, więc Mama została królikiem.

Miłość między małżonkami przetrwała. W czasie wojny byli daleko od siebie. Melchior Wańkowicz przekroczył we wrześniu 1939 granicę z maszyną do pisania. Znalazł się w Rumunii, dokąd 24 III 1940 przybywa jego córka Marta. Potem trafia na Cypr, wyjeżdża do Palestyny, pracuje jako korespondent wojenny we Włoszech. Ona całą okupację spędza wraz z drugą córką (poległą w czasie powstania) w Warszawie. Spotkają się znowu 24 XII 1945, kiedy to Zofia przybywa do Włoch. Następny etap w ich życiu to domek na Ealingu w Londynie, kolejny wyjazd – tym razem za ocean – do Stanów Zjednoczonych. Listy do małżonki pisuje podczas objazdu Kanady (8 IX – 16 XII 1950). Odwiedza kraj w 1956 roku, a dwa lata później małżonkowie już na stałe

wracają do kraju. I znowu listy z objazdu (tury odczytowej), tym razem po Polsce. Potem listy nieliczne są wysyłane do szpitala, gdzie przebywa pani Zofia. Ostatnia kartka została napisana przez pisarza 22 I 1968 roku:

> tak się każdy wyśpi,
>
> Jak se pościele,
>
> No i moje wyjście
>
> Przespałaś Aniele.
>
> Idę do Biblioteki
>
> Znaczy Narodowej,
>
> Mimo Twoje skrzeki
>
> Brać olej do głowy.

Zofia Wańkowiczowa zmarła 20 maja 1969 roku. W jakiś czas potem Pan Melchior rozesłał do znajomych i przyjaciół jakże piękne podziękowanie:

> Dziękuję za słowa żalu po śmierci Żony rodzinie, kolegom, przyjaciołom i znajomym, redakcjom, wydawnictwom, stowarzyszeniom i instytucjom.
>
> Dziękuję za listy czytelników, którzy pod niefrasobliwym tekstem książek zrozumieli, że to o towarzyszu życia kochanym, potrzebnym, koniecznym. Listy były tak przejmujące, jakby pisali o kimś najbliższym.
>
> Już Jej nie pokażę tych listów z Polski i ze świata, już jej nie będę mógł powiedzieć, jak pojedynczo składane kwiatki pokryły wieńce ze wstęgami.
>
> To już tylko dla mnie ta otucha, te nieraz nieporadne listy, te koperty bez właściwego adresu, na których wypisano słowa pełne dobroci.
>
> Dziękuję, całym sercem za Króliczka. Ale go już nie ma.
>
> Wsparliście mnie w tych najcięższych dniach utraty tej, która towarzyszyła mi pięćdziesiąt trzy lata, a której nie stało u kresu pisarstwa.

Rzeczywiście, Zofia Wańkowiczowa była dla swojego małżonka partnerem i towarzyszką życia przez te wszystkie lata. Świadczą

o tym listy, jakie pisali do siebie będąc w oddaleniu. Ona pisała do Niego:

> 29 VII 1940: Tak Ciebie kocham. I dzieci.
>
> 4 X 1940. Mam zawsze Twój list w torebce, aby się przytulić, i list Małej, aby się uśmiechnąć. A 11 X 1940: Tak bym się chciała do Ciebie przytulić, bo ucho boli i dokucza głuchota, i trudno pracować.

On listy do Niej rozpoczyna:

> Najdroższe Moje (i milutkie) Kochanie; Kochana Zosieńko; Zosinku Mój Drogi! Moja Maleńka; Moja Miła, Moja Kochana, Kochana Mojuśka. W liście z 1966 roku, a więc w pół wieku po ślubie pisze: Myślę o Tobie ciągle, jestem ciągle przy Tobie i chciałbym, żebyśmy już jak najprędzej się połączyli.

Ale listy te mówią jeszcze wiele o ich życiu, prostują obiegowe opinie o dostatnim życiu pisarza. Są wspaniałym uzupełnieniem utrwalonych na kartach Jego książek. Jest to lektura fascynująca.

Rodzina Wańkowiczów odchodzi w przeszłość. 6 sierpnia 1944 zginęła córka Krystyna. Pani Zofia zmarła 29 maja 1969, Melchior 10 września 1974 roku. Nie żyje też córka Marta (Erdman) i jej mąż Jan Erdman. W 2004 roku umarł Tadeusz Walendowski (27 lutego 2004), a niecałe dwa tygodnie później (10 marca 2004) jego żona Anna Erdman, wnuczka Melchiora.

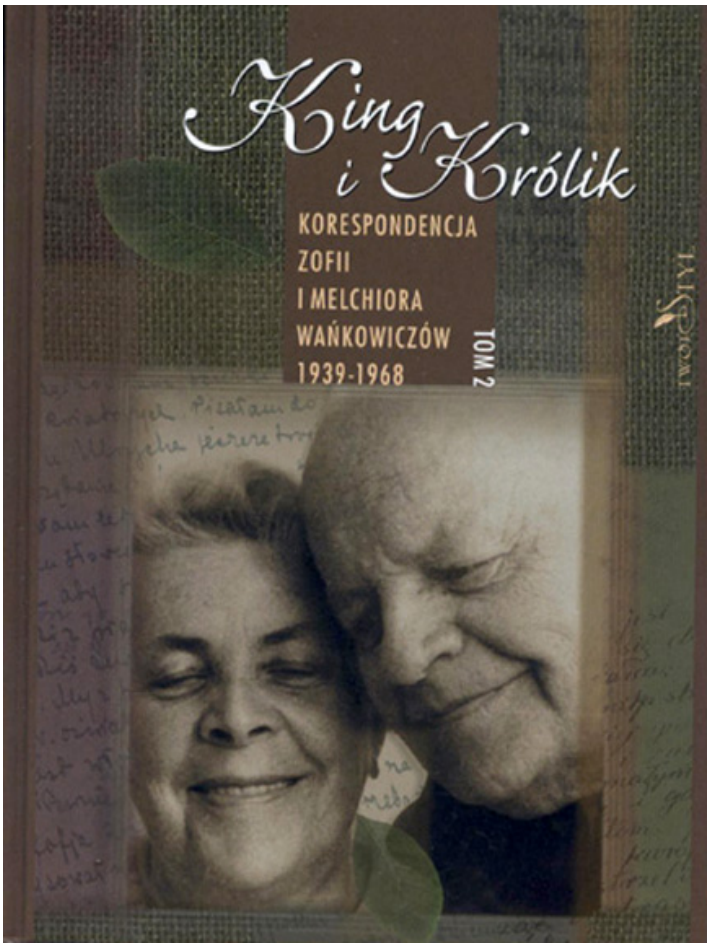
Oby znalazły się oficyny, które zechcą wydawać książki tego wspaniałego reportażysty. By kolejne pokolenia poznawały historię Polski widziane oczyma świadków.

*

Korespondencja pisarza mogła się ukazać dzięki wieloletnim zabiegom Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, której pisarz zapisał swoje archiwum. Już wcześniej opublikowała korespondencję pisarza z Czesławem Miłoszem (na łamach „Twórczości" 1981 nr 10; w II obiegu wydał ją „Głos" w 1986 roku). Nakładem Czytelnika ukazała się w jej opracowaniu w 2000 roku korespondencja z Jerzym Giedroyciem (*Listy 1945-1963)* w serii *Archiwum „Kultury".* Wcześniej (1993) „Twój Styl" wydał *Korespondencję* Melchiora i Krystyny Wańkowiczów (Ojca z córką). Udostępniła też niżej podpisanej korespondencję Melchiora Wańkowicza i Zofii Kossak (opublikowaną w „Twórczości" 1997 nr 6).

Pani Aleksandra (czy *Oleńka od Wańkowicza*, jak nazwał ją jeden z czytelników) niedługo po śmierci pisarza nauczyła się odczytywać rękopisy i zaczęła przepisywać na maszynie (to nie była epoka komputerów) zachowaną korespondencję małżonków. Wyszło jej ponad 1000 stron. Kołatała do drzwi wielu wydawców. Trzykrotnie podpisała umowę. Dopiero „Twój Styl" zrealizował umowę wydając w dwóch eleganckich tomach, w twardej oprawie całą korespondencję, bez żadnego skreślenia**.** Pozostaje tylko żal, że nie wszystkie listy się zachowały. Listy te są wspaniałym uzupełnieniem *Ziela na kraterze.*





King i Królik. Korespondencja Zofii i Melchiora Wańkowiczów. T.1: 1914-1939, t.2: 1939-1968. Opracowała, wstępem i przypisami opatrzyła Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Warszawa 2004 r., Twój Styl.

Recenzja ukazała się w „Liście oceaniczny" – dodatku kulturalnym „Gazety", pod redakcją Joanny Sokołowskiej-

Gwizdka, Toronto, nr 25, styczeń 2005 r.

Wojciech Rogala: Pasję podróżowania wyniosłem z domu

Rozmawiamy z Wojciechem Rogalą, którego debiutancka książka: „Witamy w białej Afryce”, ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Muza. Autor opowiada o poznawaniu Afryki, jakże różnej od tej, której obraz znał z przekazów medialnych, a także o przyjaźniach, fascynacji pustynią i podobieństwie architektury niemieckich miasteczek do… Wrocławia.



Wojciech Rogala, fot. arch. autora.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Niedawno ukazała się Pańska pierwsza książka – tom reportaży „Witamy w białej Afryce". Skąd u Pana pasja podróżowania, która zaowocowała tak interesującym debiutem?

Wojciech Rogala: Pasję podróżowania wyniosłem z domu. Zarówno ojciec, jak i wujek starali się wyjeżdżać w czasach, gdy nie było to takie proste. W naszym domu zawsze było dużo

książek i wszyscy je czytali, toteż i ja zacząłem czytać. Czytanie stało się moim nawykiem. Po za tym – o czym muszę z dumą wyznać – moja mama pracowała jako pielęgniarka w Egipcie, w szpitalu wojskowym, z ramienia wojsk ONZ i otrzymała nawet Pokojową Nagrodę Nobla. Cztery lata temu, na sesji ONZ mama jako jedyna dostała dyplom i prawdziwy medal Pokojowej Nagrody Nobla.

Podróżować zacząłem wcześnie – gdy chodziłem do szkoły podstawowej. To były wyjazdy autostopem do babci. A potem, kiedy byłem w liceum, jeździłem na Węgry i do Czechosłowacji. W ten sposób z kolegami zarabialiśmy pieniądze, handlując różnymi rzeczami.

BLC: Rodzina nie bała się o Pana?

WR: Nie, bo gdy miałem siedem lat, dojeżdżałem do szkoły sam, dwoma tramwajami. Na początku tata ze mną pojechał ze dwa razy, ale potem jeździłem sam. Mama była wtedy w Egipcie, więc radziliśmy sobie sami. Dziś, oczywiście, nikt nie wypuściłby siedmioletniego dziecka z domu, ale to były inne czasy.

BLC: A kiedy zrodziła się myśl o dalekiej podróży?

WR: Pod wpływem licznych lektur zapragnąłem pojechać do Afryki, bo ten ląd mnie najbardziej fascynował. W 1989 roku, po

maturze, zdecydowałem, że wyjadę do RPA na stałe. Wyruszyłem nawet do Wiednia, gdzie w ambasadzie słabą angielszczyzną poprosiłem o azyl. Odpowiedziano mi uprzejmie, że trzy tygodnie wcześniej odbyły się w Polsce wolne wybory, więc nie mogę otrzymać azylu politycznego. Doradzono mi także, abym zdał maturę, nauczył się angielskiego i ponownie przyjechał. Wróciłem rozczarowany, ale nie przestałem marzyć o Afryce. Pierwszą wielką podróż odbyłem do Casablanki. Po zdaniu matury poszedłem na geografię, co bardzo mi się w życiu przydało. Także i w tym znaczeniu, że posiadana wiedza pozwalała mi rozmawiać z napotkanymi ludźmi na różne tematy. Oczywiście, podczas studiów często gdzieś wyjeżdżałem, bo każdy taki wyjazd był przygodą. Pominąwszy Europę, odwiedziłem trzydzieści cztery kraje: byłem w obu Amerykach, Azji, Nowej Zelandii. Mieszkałem nawet przez rok w Australii. Odwiedzałem też Afrykę.

BLC: Dlaczego zdecydował Pan napisać właśnie o Afryce?

WR: Sądzę, że dlatego, iż Afryka uderzyła mnie wieloma kontrastami, a poza tym zaskoczyła na różne sposoby. Staram się żyć według prostych reguł – dla mnie białe jest białe, a czarne jest czarne. Odebrałem w domu patriotyczne wychowanie i umiłowanie wolności. Ojciec strajkował w FADROMIE, a myśmy mu sekundowali. Moja mama pracowała w Szpitalu Wojskowym we Wrocławiu, więc zmobilizowali ją w czasie stanu wojennego.

Przeżywaliśmy to wszystko bardzo mocno. Również w szkole uczyła mnie historii odważna pani. Dzięki niej mogłem otwarcie mówić o Powstaniu Warszawskim. Dlatego takie pojęcia, jak wolność i niepodległość są dla mnie bardzo ważne.



Wojciech Rogala, fot arch. autora.

Dopóki nie pojechałem do Afryki, słyszałem ciągle, że biali biją i wykorzystują czarnych. Kiedy jednak się tam znalazłem, przekonałem sie, że media kłamią, pokazując półprawdy,

zakłamując wszystko. Przekonałem się naocznie, jak jest naprawdę. Z moich doświadczeń wynika, że to raczej czarni wykorzystują białych. W demokratycznym państwie biali są zobowiązani przyjmować wskazane im osoby do zarządów spółek, muszą płacić łapówki urzędnikom państwowym. W latach 60. najwięcej państw afrykańskich uzyskało niepodległość i wszystkie porównania dotyczą okresu sprzed kolonializmu i po nim. Tymczasem biali prowadzili trzydziestoletnią wojnę z komunizmem, w której po stronie atakujących było obecnie rządzące SWAP, a po stronie broniących apartheidu było ok. 90% czarnych. Zdumiało mnie, że stanęli w obronie swoich ciemiężycieli. Dzięki wielu rozmowom z ludźmi zacząłem to rozumieć.

W Swakopmund widziałem bardzo zadbane domy Niemców, którzy tam ciągle mieszkają, a dwadzieścia metrów dalej znajdują się groby ofiar z obozów koncentracyjnych, które kiedyś tu były… Te miasteczka i domy przypominają architekturą dawny Wrocław. Na cmentarzu spotyka się polskie nazwiska – jak to możliwe?

Nawet przyroda jest pełna kontrastów – to jest fascynujące!

BLC: Wielką wartością Pańskiej książki jest to, że pokazuje Pan Afrykę jako kraj pełen nieoczekiwanych kontrastów, że Pańska narracja złożona jest z wielu wątków, które

pozwalają spojrzeć na pewne zjawiska i problemy nieschematycznie. A już najbardziej ujęła mnie Pańska wrażliwość i skłonność do refleksji, zarówno nad sprawami istotnymi w sposób oczywisty, jak też pozornie zwykłymi, czego przykładem może być opowieść o chorej, starej kobiecie idącej w kierunku morza, aby popływać. Te podróże do Afryki to także nowe przyjaźnie…

WR: Rzeczywiście, kiedy przełamie się pewną barierę, to ludzie okazują się bardzo przyjaźni. Ciągle dostaję od nich listy! Bastardzi, którzy są mi najbliżsi, bardzo przypominają w sensie kulturowym Europejczyków, a nawet Polaków, bo zachowują się i ubierają jak oni, są bardzo religijni i czują się białymi chrześcijanami, choć niektórzy z nich mają czarną skórę. Za czasów apartheidu biali mieli prawa, których nie miała ludność murzyńska i Bastardzi. A jednak, kiedy z nimi rozmawiałem, dowodzili, że ustawy apartheidu nie były tak mocno rygorystyczne, jak w RPA i żyło się im bardzo dobrze. Poszczególne narody mieszkały w strefach wyznaczonych i odpowiednio od siebie oddalonych, więc po raz pierwszy od wielu lat wydarzyła się rzecz niesłychana – plemiona te przestały ze sobą walczyć. Nie mieli wprawdzie tych samych praw, co biali, ale poczuli się bezpieczni, bo zaprzestano zabijania ich. Buszmeni, z którymi rozmawiałem, wyznali mi, że po raz pierwszy zostali wówczas uznani za ludzi. To dlatego tak chętnie wstępowali do armii. W dalszym ciągu boją się Owambo, którzy

kiedyś ich zabijali jak zwierzynę. To są dla mnie takie sprzeczności, które z trudem pojmuję albo nie potrafię zrozumieć wcale.

BLC: Chciałam Pana jeszcze zapytać o język opowieści. Kapuściński twierdził, że aby napisać jedną stronę własnej książki, trzeba przeczytać setki stron dobrej literatury. Co Pan o tym sądzi?

WR: To moja pierwsza książka. Nigdy przedtem nic nie napisałem. Przyznaję jednak, że czytam dużo i „od zawsze". Początkowo nie miałem żadnego pomysłu na tę książkę… Po moim pierwszym wyjeździe do Namibii nie robiłem żadnych notatek, to się stało dopiero później. Czasami były to obszerne notatki, czasami jakieś szczególne słowo albo zdanie, jak choćby to: *Oddajcie mi moją pustynię*. Potem snułem opowieść na temat historii, która z kolei budziła jakieś własne refleksje… I tak powstawała ta książka.



Pustynia, fot. Wojciech Rogala.

BLC: Nie rezygnował Pan również z filozoficznego aspektu tej opowieści. Podarował Pan dzięki temu czytelnikom piękny opis swojego doświadczenia pustyni, która jest… pustką. Co w tym takiego fascynującego?

WR: Pustynia mnie fascynuje swoim ogromem i tym, że czuję się wobec niej taki mały. Ta pustka i czystość, niezniszczony przez człowieka naturalny krajobraz przejmują mnie najbardziej. Kiedy

na nią patrzę, muszę sobie zadać pytanie, kim jestem. To jest szczęście, że mogę tam pojechać. A jedną z najprzyjemniejszych rzeczy w podróżowaniu jest powrót, kiedy mogę podzielić się z przyjaciółmi tym, co przeżyłem. Przywożę dla nich z podróży różne potrawy, napoje, aby mogli tego posmakować. Z potrzeby dzielenia zrodziła się ta książka.

BLC: Gratuluję zatem wspaniałego debiutu. Czekamy na kolejną opowieść.

———————



W. Rogala, fot. arch. autora.

Wojciech Rogala – wrocławianin, ukończył geografię na tutejszym Uniwersytecie. Z zawodu zarządca nieruchomości, z pasji – podróżnik i bibliofil. Zwiedził ponad 60 krajów, w tym 34 europejskie. Pierwszą znaczącą podróż odbył do Casablanki. Afryka jest lądem, który fascynuje go w sposób szczególny. Rezultatem jego afrykańskich przygód i doświadczeń jest książka o Namibii.

„Siedem rozmów o poezji” – Floriana Śmiei dialogi z poetami

Recenzja książki



Na Culture Avenue pojawiły się dwie rozmowy o poezji Floriana Śmieji – z Wacławem Iwaniukiem oraz z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem. Obie znalazły się w książce „Siedem rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, w Toronto w 1990 roku. Publikacja ta jest ważnym przyczynkiem do analizy procesów, przez które przechodziła współczesna poezja polska. Mimo, że rozmowy były przeprowadzone wiele lat temu, wnikliwe obserwacje interlokutorów nie zdezaktualizowały się.

Redakcja

Grażyna Maroszczuk

Siedem rozmów o poezji **Floriana Śmiei** – książkę opublikowaną w Toronto w 1990 roku – tworzą dialogi spisane na gorąco i rejestrujące, jak powie autor przedsięwzięcia, rozważania poświęcone poezji, sposobom jej przeżywania, sylwetkom poetów znanych i mniej znanych odbiorcy, artystów tworzących w kraju i na emigracji. Nie łatwo przesądzić, co łączy rozmowy zarejestrowane w różnych miejscach i w różnym czasie. Zamysł konstrukcyjny całości charakteryzuje pewna przypadkowość.

> Stwierdzenie starożytnych „verba volant, scipta manent", że należy ulotne słowa spisać, i dzisiaj nie straciło na aktualności. Dotyczy to również spontanicznych rozmów o literaturze .
>
> Przed laty powziąłem myśl, by sporadycznie przejeżdżających przez London Ontario, przyjaciół i znajomych nagrywać, gdy tylko rozmowa zejdzie na tematy związane z poezją. Z czasem doszedłem do wniosku, że te odruchowe i szybkie wypowiedzi są interesujące i że warte są utrwalenia i udostępnienia innym […].
>
> Rozmowy nie były planowane. Uważny czytelnik bez trudu odczuje brak spójności między nimi. Z kolei dzięki temu,

> osiągam coś, co też jest wartością: spontaniczność, chwytanie na gorąco chwili, przekształcanie się falującej intuicji w słowa szukające prawdy. [1]

Wybór padł w tym wypadku na rozmowy, w których jednym z podmiotów wymiany są poeci, prozaicy, historycy literatury, redaktorzy emigracyjnych pism kulturalno-literackich, wykładowcy: **Tymon Terlecki, Jerzy Pietrkiewicz, Janusz Ihnatowicz, Stanisław Barańczak, Krzysztof Lisowski, Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Wacław Iwaniuk** a „gospodarzem instytucjonalnym" całości jest poeta, wykładowca, tłumacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, eseista, redaktor naczelny londyńskich pism emigracyjnych „Nowy Merkuriusz" i „Kontynenty" – **Florian Śmieja**. Poeta, który ma za sobą trudną drogę na obczyznę, co powoduje, że relacja emigracja – kraj, przetransponowana do poetyckich utworów artysty zaznaczona jest silnie także w innych przekrojach autokomentarzy literata, w jego twórczości wspomnieniowej i paraliterackiej.

Nie chcę wchodzić w szczegóły biograficzne pozwalające właściwie docenić silną, emocjonalną więź humanisty z ojczyzną. Rozmowy o poezji trudno jednak czytać bez świadomości tego kontekstu, bez zrozumienia trudnej sytuacji emigracyjnego poczucia obcości. Bez ciekawości spraw polskiej kultury, jaka

leży u podstaw przedsięwzięcia, zapewne nie powstałyby dialogi, które zebrane zostały w formie publikacji zwartej. Interesuje mnie zatem, jak poeta pojmuje zobowiązania paraliterackich tekstów. Wszak paratekstowe komentarze zamieszczone we wstępnych rozważaniach animatora dialogów wiążą się między innymi z pytaniem, jak czytać dialogi o poezji. Są one zapisem selektywnej i wybiórczej pamięci, która fałszuje obraz przeszłości. Jednocześnie pamięć ta w sytuacji psychicznej emigranta krystalizuje poczucie tożsamości.

Lekturę siedmiu dialogów rozpocząć należy od *Słowa wstępnego*. Nie sposób nie zauważyć, że metatekstowe wypowiedzi poety i gospodarza instytucjonalnego spotkań, konsekwentnie przypominają o takich wartościach dialogów, jak świeżość aktualnego spojrzenia interlokutorów, fragmentaryczność wyselekcjonowanych epizodów, z drugiej zaś spontaniczność zapisów, zachowanie dynamizmu chwili żywej rozmowy i bezpośredniość kontaktu, która kompensować ma „nieuniknione w takim wypadku niedociągnięcia i usterki”[2]. Sprzeczności, na których rozmowy są zbudowane, trudności w rejestracji mówionego-pisanego świadomość tę jedynie pogłębiają. Autor wstępu sygnalizuje obawy, które towarzyszą opracowaniu materiału. W autoryzacji materiał spisany na gorąco poddany zostanie retuszom, intelektualna rutyna wpłynie na „esencjonalność dorywczego spojrzenia”[3] „mówionego” i zastąpi go skrupulatną korektą „pisanego”.

Z drugiej wszak strony pozostaje szacunek dla pracowitości, skrupulatności zapisu, którym człowiek „umiejący pracować nad słowem” potwierdza swoją rzetelność i szacunek do literatury. „Skrzętny gospodarz sensu” – **Florian Śmieja** nie zapomina przecież o poznawczym, porządkującym trybie „wywiadywania się” i rejestrowania informacji. Odbiorca znajdzie w *Słowie wstępnym* dane na temat genezy rozmów. Biogramy i krótkie noty o ważnych pozycjach dorobku naukowego i artystycznego interlokutorów pełnią tu rolę informacyjnej introdukcji. Siła różnych punktów widzenia, rozpiętość czasowa i zmienność miejsc rejestrowanych na taśmie spotkań (Toronto, Cambridge, Massachusetts, Warszawa) przybliżać mogą w miarę obiektywny obraz rzeczywistości rekonstruowanej po latach w dialogach. Wystarczy przeczytać informacje o miejscu i czasie nagrywanych spotkań, przywołujących odległe konteksty. Przypomnijmy, że rozmowy zebrane w porządku numerycznym rejestrują spotkania z lat siedemdziesiątych. Datą tą opatrzone zostały inicjujące kolejne spotkania, jak informuje autor wstępu, dialogi z **Januszem Ihnatowiczem** poświęcone wspomnieniom czasów „Kontynentów”. Zarejestrowane na taśmie spotkania z **Tymonem Terleckim, Stanisławem Barańczakiem i Krzysztofem Lisowskim** odbyły się w połowie lat osiemdziesiątych. Wreszcie finalizujące książkę dialogi z **Julią Hartwig, Arturem Międzyrzeckim i Wacławem Iwaniukiem** pochodzą z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Dialogi **Floriana Śmiei** z poetami ukazały się w 1990 roku. O karierze form dwuautorskich w trudnych latach transformacji drugiej dekady pisano wiele. Aleksander Główczewski w książce *Poetyka i pragmatyka „rozmów z…."*[4] analizował przyczyny sukcesu form dwuautorskich, wywiadów z poetami, pisarzami, politykami. Dla badacza umownym punktem początkowym popularności tekstów interlokucyjnych był przełom 1989/1990 roku – jak twierdzi autor monumentalnego studium – są to lata publikacji *Mojego wieku* Aleksandra Wata (pierwszego wydania książki w oficjalnym obiegu). Badacz wskazuje jednocześnie na przyczyny popularności wywiadów książkowych. Jest tu miejsce na informacje szczególnego rodzaju: dotychczas z różnych względów niedostępnych czytelnikowi. Jest miejsce na poszerzenie

> przestrzeni komunikacji, zdeterminowanej m. in. obowiązującą w danym czasie doktryną polityczną i ideologiczną (…)[5].

Efektem tak ukierunkowanych zmian było „odblokowanie informacji". **Florian Śmieja** przypomina o dokumentującej i poznawczej roli dyskursywnych komentarzy, inaczej trafiających do odbiorcy emigracyjnego, niż „mało chodliwe"[6] w rozumieniu wydawców, aspektowe dyskusje, debaty, odczyty na temat poezji[7]. Walory informacyjne tych przedsięwzięć grają rolę

szczególną. Wiążą się z możliwością zaprezentowania mówiącego „ja”, który w obecności Drugiego współtworzy namysł nad życiem, twórczością, doświadczaniem trudów tworzenia w zmiennych sytuacjach historycznych w kraju i na emigracji. Można wstępnie założyć, że istotną rolę w wywiadach zajmowałby dziennikarski punkt widzenia z prawem do oryginalności komentarzy, przede wszystkim umiejętnością utrzymania uwagi odbiorcy na sprawach mało mu znanych. Ale kłopotliwa bliskość literatury i dziennikarstwa w badaniach literaturoznawców i medioznawców pozostaje kwestią ciągle otwartą. Nie można lekceważyć faktu, że pytający jest poetą. Jako poeta interlokutor ciekawy będzie świadomości autorów, tego jak widzieli i widzą swój czas i rzeczywistość, w której przyszło im tworzyć. Chodzi przecież o sposób przeżywania poezji, trudne wybory artystyczne. O te kwestie poeta pyta najczęściej. Potrzeba weryfikowania tego, jak artyści pamiętają swoją przeszłość wydaje tu się mniej istotna. Okoliczności nagrań wyjaśnia komentarz wstępny:

> W prezentowanych tekstach występuje rozmówca-poeta, rozmówca- pisarz […] jako uczestnik życia literackiego, nie krytyk czy historyk literatury[8].

Rolą pytającego jest raczej wywoływanie wspomnień, zatem świadomość tego, który pyta może na swój sposób korygować

interpretację monologizujących, może wyzwalać mowny potencjał rozmówcy, który próbuje porządkowania własnej przeszłości.

> W takiej sytuacji nie było właściwe prezentowanie systematycznie przygotowanych pytań. Zadawałem więc ogólne i niepodchwytliwe, a i też nie zawsze, jeśli tylko rozmowa nabierała rozpędu. Próbowałem raczej asystować przy wyłanianiu się wspomnień i osądów, nie przerywałem i nieraz wolałem nie stawiać pytań, jeśli rozmówca samorzutnie poruszał kwestię, choćby nawet nie rozwijały wcześniej rozpoczętej myśli.[9]

Metatekstowy fragment wprowadza czytelnika w świat lektury wywiadów, w których nie ściśle naukowy, nie dziennikarski punkt widzenia zdominował przekaz o sztuce i życiu literackim. Nie zawsze działa tu właściwe wywiadowczym praktykom prawo ekonomii uwagi. Rozmówcy pozwalają sobie na dygresje, usprawiedliwiają potrzebę retardacyjnego opóźniania rozmowy, wtedy gdy rejestracji domaga się nawet mniej ważny epizod, reminiscencja, asocjacja czy rozbudowany, metatekstowy komentarz. **Tymon Terlecki** na marginesie wywodu poświęconego wspomnieniom Leśmiana dopowie:

> Wspominanie wymaga pewnych okoliczności. To nie jest aktywność psychiczna, którą można mieć na zawołanie. Są czasami irracjonalne okoliczności które powodują, że otwierają się jakieś śluzy, że wyskakują jakieś skojarzenia. Tutaj zupełnie niespodziewanie dla siebie opowiedziałem te historię o Leśmianie, którą uważam za przynależną do historii recepcji tego poety[10].

Co do planu treści nie chodzi tylko o rejestrację, dokumentację wydarzeń, proste odwzorowywanie świata i różnorako uwikłaną, ograniczoną interpretację faktów. Mniej wyraźne wydaje się dążenie do maksymalnego zobiektywizowania wypowiedzi. Wartością literatury jest afirmacja emocji i potrzeba kontrolowania ambicji intelektualnych. Dlatego wrażliwość poety, dająca o sobie znać w komentarzach wstępu, pozwala wydobyć walory wspomnieniowych ewokacji interlokutorów:

> […] rozmówcy nie używają aseptycznego żargonu naukowego, który tak skutecznie odstrasza czytelnika[11]

– przypomina **Florian Śmieja** w kolejnej autoeksplikacji. Tym samym uznaje ważną dla gatunku świadomość przystępności komunikowanych treści rozmów, które są – powtórzmy za Anną

Łebkowską „rozmowami dla”, rozmowami dla odbiorcy[12]. Komentatorzy gatunku pisali o sprzecznościach tkwiących w tekstach mówionych pisanych. Ta świadomość mówionego-pisanego towarzyszyła pracom nad redagowaniem rozmów. **Florian Śmieja** umieści w paratekstowej formule wstępu komentarz dotyczący kłopotliwości rejestracji dialogów, trudności natury technicznej:

> Oczywiście powstał dylemat czy należało dać autorom tekst do wglądu przed drukiem, istniała bowiem obawa, że rozmówcy będą się starali ulepszyć esencjonalność dorywczego widzenia skrupulatnymi refleksjami i intelektualną rutyną[13].

Umiejętność pracy nad słowem, którą można odnieść do wszystkich rozmówców zagrażałaby – zdaniem autora wstępu – żywiołowi spontanicznej rozmowy.



Florian Śmieja z Niną Taylor-Terlecką, żoną Tymona Terleckiego, Oxford, 2004 r., fot. arch. Floriana Śmieji.

Rzecz tę warto zobaczyć w perspektywie, którą nakreśla animator przedsięwzięcia. Autor wstępu sygnalizuje w kolejnym fragmencie wagę wspomnieniowych ewokacji w dialogach rekonstruujących przeszłość powojenną. Retrospektywy poświęcone zapamiętanym miejscom i ludziom pojawiają się w komentarzach **Tymona Terleckiego** i **Wacława Iwaniuka**.

Tymon Terlecki na marginesie wywodu zastanawia się, nad

mechanizmem rozpamiętywania inspiracji twórczych, które ukształtowały wrażliwość literata i bliskich mu „współleśmianistów”, bo tak krytyk nazywa fascynację lwowskich poetów poezją **Bolesława Leśmiana:**

> Dla Leśmiana życie to było naprawdę przez największe „Ż”, obejmujące jakieś najdalsze perspektywy i psychologiczne i metafizyczne, kontemplację i złożoność, tragiczność, wieloznaczność faktu istnienia […]
>
> Przeżycie nasze Leśmiana było tak swoiste, tak głębokie, tak jakoś subiektywnie natężone, tak pobudzane przez okoliczności życia Zakopanego, sanatoriów, w których spędzaliśmy miesiące i lata przez naszą chorobę […][14].

W rozmowie z **Tymonem Terleckim**, krytykiem, historykiem teatru i literatury, redaktorem „Polski Walczącej” – wyłania się wspomnieniowy fragment przedwojennego, rodzinnego Lwowa. Środowisko lwowskich poetów i uczestników wieczorów Kasyna Literacko – Artystycznego. **Stanisław Maykowski** i **Henryk Bald**, literaci mało znani współczesnemu odbiorcy, nie odnotowani w antologiach poetyckich. Kontekstowy charakter rozmowy, nieznane biogramy, szczegóły, nazwiska dopełnia komentarz na temat osiągnięć innowatorów poezji międzywojnia. Szczególnie tych, którzy odcisnęli swój ślad w krytycznych

pracach interlokutora: **Józef Wittlin, Bolesław Leśmian**, poeci **Skamandra**. We wszystkich rozmowach przewija się refleksja o osobowościach, które wpłynęły na sposób przeżywania liryki przez humanistę. W komentarzu interlokutora przywołane zostaną krytyczne refleksje uczonych na temat Młodej Polski Lwowa i wyrastających z jej inspiracji wielkich projektów kultury polskiej. Nie bez znaczenia dla tego obrazu będzie zaznaczone w tym miejscu wspomnienie **Stanisława Brzozowskiego** autora *Legendy Młodej Polski*. Zasygnalizowana na marginesie wspomnieniowego komentarza, wydobyta po latach, mało znana czytelnikowi, lakoniczna reminiscencja na temat „lwowskiego zaśpiewu" **Irzykowskiego**, utrwalona w pamięci interlokutora i wspólnych rozmów z autorem „Pałuby". W tle fragmentarycznej rozmowy uwagę zwraca krytyczna świadomość odbiorców i związany z gestem porządkującym wypowiedzi repetycyjny charakter komentarza o przeszłości w odniesieniu do tego, co już zostało przemyślane, wcześniej powiedziane, napisane. Zależność ta ujawni się w nawiązaniu autokomentarza do londyńskiego odczytu, w którym **Tymon Terlecki** wzbogacił o nowe warianty terminologię periodyzacji modernizmu:

> W odczycie, który miałem w Londynie, myślę, że zdołałem wylansować ten termin Młodej Polski lwowskiej. Bo jest Młoda Polska zakopiańska, Młoda Polska krakowska, Młoda Polska warszawska […][15].

Następny autokomentarz dopełnia wspomnienie przyjaźni humanisty z **Kazimierzem Wierzyńskim**, z czasów warszawskich, kiedy poeta był recenzentem teatralnym „Gazety Polskiej".

> W Polsce Wierzyński odnalazł mnie jako młodego, obiecującego literata we Lwowie, kiedy bardzo krótko redagował świetny tygodnik „Kultura" […][16].

I dalej sugestywny opis osobowości poety, który zaważył na kulturze duchowej rozmówcy:

> Tu mógłbym tylko same banały opowiadać, jakie to było zjawisko nieodpartego uroku ludzkiego, męskiego, towarzyskiego. Wtedy w Zakopanem nawiązała się pewna znajomość, jedna z tysięcy, jakie Wierzyński zawierał, bo on miał przy swojej męskości jakąś niesłychaną, nienasyconą, kobiecą zaborczość zjednywania sobie ludzi, czarowania zagarniania w cień swego uroku. Tam uległem temu urokowi[17].

To powoduje, że świat wartości poety nabiera cech dominujących, zdaje się być wszystkim, co dla niego ważne.

Dobór rozmówców wiąże się także z pytaniem o gest porządkujący, o sposób docierania do osoby twórcy. Odrębność rozmów – o czym wspomina we wstępie redaktor tomu – dotyczy stylu wypowiedzi, strategii ujawniania się „ja" mówiącego lub komentarzy, które mogą być wypadkową chwili, psychicznych predyspozycji interlokutora. Lektura tekstów skłania do namysłu czym były dialogi wtedy, czym są po wielu latach:

> Doszedłem niemniej do przekonania, że coś się z nich ostanie, że nie wszystko się przedawni, że nieuniknione w takim przypadku niedociągnięcia i usterki kompensuje świeżość oraz spontaniczność wypowiedzi[18].

Świadomość tego, który pyta musi oddziaływać na idiosynkrazje bohaterów spotkań, którzy podejmują wysiłek nazwania rzeczy, sproblematyzowania zjawisk i ich wyjaśnienia przy samoświadomości ograniczeń memuarystycznej pamięci. Ciekawość innej optyki widzenia rzeczy „z perspektywy Kraju" pojawia się w pytaniach kierowanych do wszystkich interlokutorów. Wydaje się, że starania pytającego inicjujące dialogi o poezji pozornie ustalają kierunkową rozmowy. Ale słowa odbijają się od słów, natłok dygresji, epizodów związanych z przeszłością wyzwala „swobodną grę wspomnień"[19] a interlokutorzy, odnotuje autor wstępu, wciągnięci zostaną w dialektykę sytuacji, gdy odpowiedź jest równoczesna z pytaniem.

Pograniczny charakter rozmów, samoświadomość mówionego-pisanego nie zawsze towarzyszy funkcjonalistycznie czytanym wywiadom-rozmowom, w których czytelnik poszukuje informacji niedostępnych poza wyznaniowo-informacyjnym komentarzem, formułowanym w obecności Drugiego. Tak jest w wywiadzie z **Jerzym Pietrkiewiczem** komentującym osiągnięcia artystyczne kolegów po piórze. Interlokutorzy przypominają sylwetkę **Bogumiła Andrzejewskiego, Mariana Czuchnowskiego, Czesława Bednarczyka.** Interpretacje i poglądy poetów nabierają cech sugestywnych, nawet jeśli są tylko fragmentaryczną projekcją, nie obejmującą całości polskiego życia kulturalnego i duchowego w kraju i na emigracji.

Zebrane wypowiedzi zapewne stanowią źródło interesującego autokomentarza autobiograficznego, metatekstowego, historycznego. Znajdziemy tu wyczerpujące dyskursywne komentarze. **Stanisław Barańczak** zapytany w Cambridge w 1983 roku o poetykę twórczości nowofalowej daje syntetyczny „miniwykład" na temat interesującego rozmówców ruchu programowego, ważnych, lirycznych głosów pokolenia i młodych kontynuatorów dykcji nowofalowej. Rolę czynnego rozmówcy przyjmuje autor *Korekty twarzy* w komentarzach dotyczących roli pism kulturalno-literackich, między innymi „Zeszytów Literackich", tytułu integrującego środowiska pisarzy krajowych i emigracyjnych. Gest porządkujący charakteryzuje wypowiedzi **Julii Hartwig** i **Artura Międzyrzeckiego** współtworzących

eseistyczny wywód na temat grup poetyckich międzywojnia i poezji powojennej widzianej w syntetycznym uogólnieniu i w perspektywie ważnych dat, które dają wgląd w przełomy polskiego życia kulturalno-literackiego. Przeważają w tym fragmencie pytania o dopełnienie w mozolnym docieraniu do obrazu nieznanego gospodarzowi przebywającego w tym czasie na emigracji. Pojawiają się pytania dotyczące politycznego, ekonomicznego i kulturalnego wizerunku Polski, który przechowała pamięć interlokutorów. Sposób prezentowania poglądów poetów, chłodnego ważenia racji rozmówców zmienia się, gdy pytający prosi o komentarz do sytuacji współczesnej środowisk poetyckich w Polsce. Tu spokój argumentacji nie może do końca przezwyciężyć emocji związanych z troską o przetrwanie kultury narodowej, wartości moralnych, poszukiwania hierarchii wartości autentycznych, bez których liryka zdaniem dialogizujących poetów nie może się obyć. Mamy zatem w antologii wywiadów do czynienia z problemowym uporządkowaniem i wspomnieniową „mitologiczną *genezis* świadomości bohaterów dialogów”[20].

Wywiady z pisarzem i dialogi poety z poetami w kontekście innych dokonań artystycznych humanistów dowodzą zainteresowania, wrażliwości emocjonalnej i potrzeby uczestnictwa emigracyjnego twórcy w życiu bieżącym kraju – przypominał Zbigniew Andres w szkicu *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei****[21]***.

Trudno dziś bowiem nie docenić informacyjnej roli dwuautorskich, samoświadomych autoanaliz i interpretacji, wpisanych w gest porządkujący, dociekań dość ważnych z punktu widzenia wiedzy o literaturze. W rezultacie tych spotkań otrzymujemy wcale nie mały kontekst dopowiedzeń biograficznych, socjologicznych i interpretacyjnych.

---

[1] Wszystkie cytaty za edycją: F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji.* Toronto 1990.

[2] Ibidem, s. 9.

[3] Ibidem.

[4] A. Główczewski, *Poetyka i pragmatyka „rozmów z…”*, Toruń 2005.

[5] Ibidem s. 232.

[6] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne*…s. 10.

[7] Ibidem.

[8] F. Śmieja: *Siedem rozmów o poezji*…s. 9.

[9] Ibidem, s. 8.

[10] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem* rozmów… s. 22.

[11] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne…,* s. 9.

[12] A. Łebkowska: *Rozmowy z pisarzem – analiza gatunku,* [w:] *Kryzys czy przełom. Studia z teorii i historii literatury*, pod red. M. Lubelskiej i A. Łebkowskiej, Kraków 1994, s. 175–18; A. Główczewski: *Poetyka i pragmatyka „rozmów z …"*, Toruń 2005; K. Maciąg: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych"*, Rzeszów 2001. S. Bereś: *Historia literatury polskiej w rozmowach XX–XXI wiek,* Warszawa 2003, s.13. B. Witosz: *Stylistyka prozy interlokucyjnej – uwagi wprowadzające,* [w:] *„Język Artystyczny"*, t.13: *Interakcyjny wymiar dyskursu artystycznego,* pod red. B. Witosz, Katowice 2007, s. 109.

[13] F. Śmieja, *Siedem dialogów*…s. 9.

[14] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem* rozmów…, s. 21.

[15] Ibidem, s. 16.

[16] Ibidem, s. 19.

[17] F. Śmieja, *Słowo wstępne…*, s. 9.

[18] Ibidem.

[19] Ibidem.

[20] M. Kurek, J. Ziarkowska, *Wstęp*, [w:] *Rzeczywiste i możliwe. Rozmowy z Florianem Śmieją,* Wrocław 2005, s. 9. Por. też: G. Maroszczuk, *Rzeczywiste i możliwe – rozmowy z Florianem Śmieją,* [w:] *Literatura polska w Kandzie. Studia i szkice*, pod red. B. Szałasty-Rogowskiej, Katowice 2010, s. 121-124.

[21] Z. Andres, *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei*, [w:] *Literatura polska w Kanadzie*…s. 112-115.

Australijskie świeczki

– haiku

Fotografia: Anna Fiala i Andrzej Fiala

Tekst: Adam Fiala

Żywy płomień, fot. Anna Fiala

Żywy płomień

Australijskiego

Buszu



Ptaszek, fot. Andrzej Fiala

Ptaszek

Wśród suchych traw

Zaprasza do trójki

Węże, fot. Andrzej Fiala

Węże pni

Przytulają się

Do siebie



Australijskie świeczki, fot. Andrzej Fiala

Australijskie

Świeczki

Na choinkę



Łabędź, fot. Anna Fiala

Łabędź

Mizdrzy się

W lustrze wody



Chmurko, fot. Anna Fiala

Chmurko

Odszukaj siebie

W rzece Swan

Kształt miłości



Fragment muru Boldt Castle na Heart Island, fot. womaninreallife.com

Florian Śmieja

Jezioro Ontario na północnym wschodzie tworzy lejek, z którego rozpoczyna się potężna rzeka św. Wawrzyńca. Ogromne wody pędzone wielkim spadem z północy wdarły się dramatycznie w nizinę rozdzierając ląd i tworząc ponad półtora tysiąca wysp i wysepek stanowiących jeden z najbardziej malowniczych regionów Ameryki Północnej.

Aczkolwiek po obu stronach rzeki biegną doskonałe szosy, a brzegi pocętkowane są parkami, krainę tę należy zwiedzać motorówką wypływając w dłuższy rejs z historycznego, kanadyjskiego Kingston, lub robiąc o połowę krótszy wypad z miejscowości Gananoque. Bo tylko opływając duże wyspy kanadyjskie i amerykańskie i mijając dziesiątki jeśli nie setki wysp małych i malutkich, można ocenić stosowność nazwy "Kraina tysiąca wysp". Indianie nazywają ją "Manitonne", to jest "Ogród Wielkiego Ducha". Dzisiaj ten odcinek rzeki jest rajem dla amatorów wszelkiego rodzaju wodnych sportów.

Wysepki mają różne rozmiary i kształty, bywają zadrzewione lub nagie. Nieraz ledwo się na nich mieści domek. Dopiero płynąc wśród nich zrozumiałem przekornego etymologa, który wywodził słowo "wyspa" od czasownika wyspać się, kiedy to po lewej i po prawej pojawiały się domki oazy, malowniczo położone tuż nad wodą oraz jachty, motorówki i łódki przycumowane do brzegów lub wyzierające z szykownych przybudówek. Ileż to inwencji, miłości i oczywiście, pieniędzy, poszło na stworzenie tych

rozkosznych schronisk, gdzie ludzie mogą do woli cieszyć się przyrodą, samotnością, ciszą i wodą.

Miłośnicy rybołówstwa znajdą znakomite tereny do wędkarstwa. Historycy i łowcy egzotyki zobaczą dawne wieże obserwacyjne, wille i pałacyki gwiazd filmowych i bogaczy. Do szczególnie atrakcyjnych, a na pewno najromantyczniejszych należy wyspa Heart – Serce. To na niej magnat hotelowy George C. Boldt zbudował zamek – rezydencję dla swojej żony.

Boldt pochodził z niezamożnej rodziny niemieckiej i ponoć jako dziecko rozmarzonym okiem spoglądał na zamki nad Renem. Stawszy się w Ameryce multimilionerem wybrał się z żoną nad Rzekę św. Wawrzyńca. Urzeczony jej pięknem kupił wyspę i zaczął budować wspaniałą rezydencję. Samej wyspie nadał kształt serca. Zaplanował jedenaście budynków oraz przystań. Najokazalszy miał być zamek. Architekci rozpracowali sugestie Boldtów, zjechali artyści i rzemieślnicy, z Europy sprowadzono marmury, mozaiki i arrasy. W sąsiedztwie był granit i piasek.

Zamek zamierzony był dla stu gości i ich służby. Sala przyjęć, sala balowa, jadalnia i biblioteka rozlokowane zostały na pierwszym i drugim piętrze. Nad nimi znajdowały się sypialnie. Inne budowle w kształcie średniowiecznych baszt i zameczków powstały na brzegach wyspy. Fontanny i krzewy kwitnące upiększyły tło.

Zamek budowano w wielkim ferworze i niewiele brakowało do jego ukończenia, kiedy niespodziewanie zmarła pani Boldt. Telegram męża nakazał natychmiastowe wstrzymanie wszelkich robót. Odtąd nad wyspą panuje grobowa cisza, nigdy już więcej stopa Boldta nie miała na niej stanąć.



Zrujnowane wnętrze Boldt Castle, fot. pinterest.

Potem ta niezwyczajna wizja, marzenie, tkliwość i obsesja jednego człowieka, stały się kolosalną ruiną, dla wielu ludzi aberracją lub też szansą do zarobienia, do nagryzmolenia nazwiska na ścianie, obiektem zgryźliwej uwagi przypadkowych

świadków czy taniego reportażu mało wrażliwego obserwatora.

A przecież niespieszny przechodzeń poduma wchodząc do tego fantastycznego kasztelu, do pomnika wielkiego ludzkiego serca. Osypują się dachówki, zaciekają powały, gniją podłogi, sterczą piszczele dźwigarów, zwisają potargane elektryczne druty, oknami o rozbitych szybach sączy się światło przez pajęczyny żelastwa.

Niemniej ruina stanowi niezwykły monument gestu serca dla umiłowanej osoby, jest obrazem spustoszenia, jakie śmierć czyni w kochającej duszy. Bo kiedy przestało bić serce, które dało natchnienie do budowy, musiała też stanąć wyspa-serce, zewnętrzny tamtego uczucia kształt.

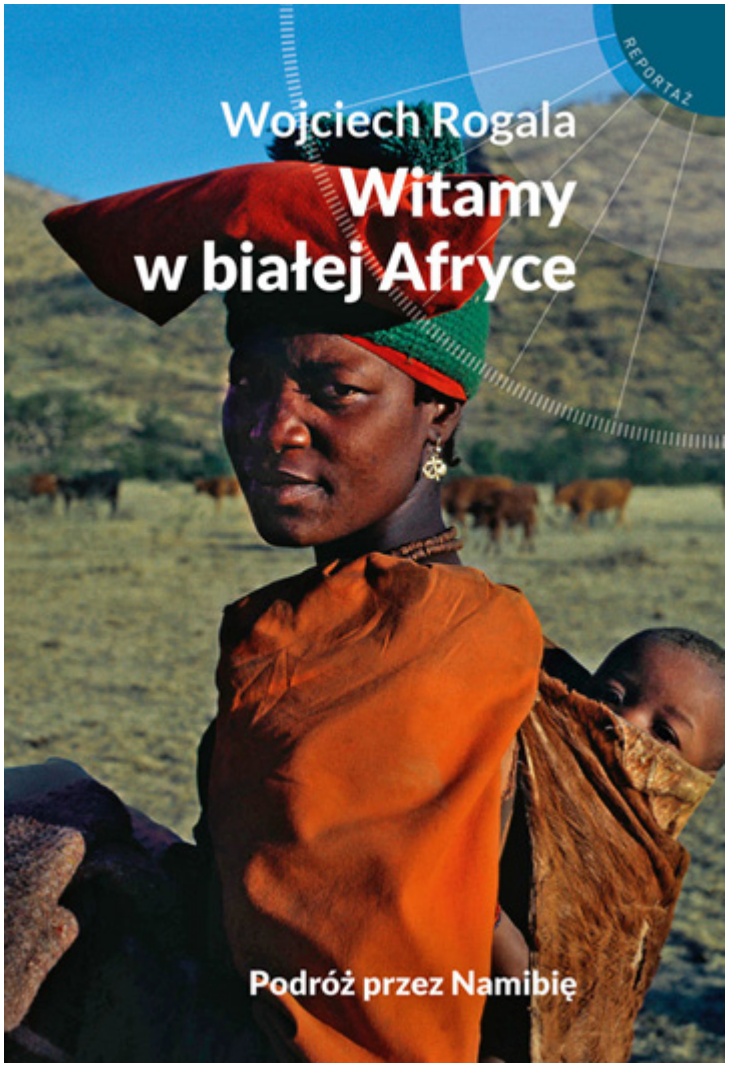
„Witamy w białej

Afryce” Wojciecha Rogali: Jak daleko stąd, jak blisko…

Recenzja książki

Barbara Lekarczyk-Cisek

Zawarty w tytule reportażu Wojciecha Rogali paradoks odbija jak w soczewce zarówno historię, jak i teraźniejszość Namibii. To próba spojrzenia na zmiany, jakie zaszły w południowej części kontynentu, oczami jego białych mieszkańców. A wszystko to ujęte jest w ramy dialogu, któremu autor nadaje cechy przypowieści, przywołując fragment Ewangelii wg św. Mateusza: „Nie sądźcie…”.



Cechą charakterystyczną narracji Rogali jest także częste porównywanie zmian w Namibii do tego, co się wydarzyło w Polsce po transformacji. Autor próbuje zrozumieć te zmiany odnosząc się do własnych, polskich doświadczeń, poczynając od prostej konstatacji, że Polska odzyskała wolność zaledwie o rok wcześniej od Namibii. Owe paralele sprawiły, że autor reportażu postanowił zbadać, co czują biali mieszkańcy tego kraju, jak patrzą na swoją historię i jaką widzą dla siebie przyszłość. Skąd jednak wzięli się biali mieszkańcy na tych terenach?

Nowy naród wybrany

Afrykanerzy wierzą głęboko, że są nowym narodem wybranym, który został namaszczony przez Boga 16 grudnia 1838 roku. Tego dnia bowiem, gdy 470 Burów – białych potomków holenderskich i hugenockich osadników – otoczyła

dwunastotysięczna armia Zulusów, ich kaznodzieja uroczyście poprzysiągł, że jeśli Bóg nie wyda ich w ręce wroga i ocali, wówczas wybudują Mu świątynię, a dzień ten będzie czczony przez następne pokolenia. I stał się cud – w tej nierównej walce zginęło około trzech tysięcy zuluskich żołnierzy i ani jeden Bur… A dzień bitwy nad Blood River stał się dniem przymierza, w którym Pan uczynił Burów władcami tej ziemi. Religia dała temu ludowi tożsamość, dumę i stworzyła wspólnotę, która scementowała rozproszoną grupę białych protestantów z Holandii, Francji i Niemiec. Jednakże po dwustu latach, kiedy Anglicy znieśli niewolnictwo i zaczęli okupować te ziemie, Burowie ruszyli na północ i postanowili zacząć wszystko od nowa – w zgodzie ze swoją wiarą i przekonaniami. Tak rozpoczął się tzw. Wielki Trek, którego główna fala datowana jest na lata 1835-1836.



Antylopa oryks, fot. Wojciech Rogala.

Wojciech Rogala fascynująco opisuje tę wielką odyseję, podczas której ludzie kroczyli potężną karawaną przez pustynię, niczym biblijni Żydzi, nękani przez pragnienie, skwar i malarię. Owe wędrówki trwały z przerwami wiele lat. Ostatnia wyprawa miała miejsce w 1905 roku, kiedy to Burowie, którzy nie chcieli żyć pod panowaniem Brytyjczyków, osiadli w Humpacie, gdzie nie tylko uprawiali ziemię, ale również polowali na słonie, walczyli z oddziałami Owampo i zapuszczali się na tereny administrowane przez Niemców. Po I wojnie zaczęli osiedlać się w Afryce Południowo-Zachodniej, gdzie stworzono osadnikom bardzo

dobre warunki.

Afryka jako poligon doświadczalny – pierwsze obozy koncentracyjne

Autor dociera do różnych miast i miasteczek znajdujących się w Namibii, próbując przywrócić zbiorowej pamięci ich historię, która rzutuje na współczesne oblicze kraju. Do miast, których historia jest mało znana, a przecież tak być nie powinno, należy Lűderitz, w którym Niemcy zaprawiali się w masowym mordowaniu ludzi uwięzionych w obozach koncentracyjnych. Okazuje się przy tym, że obozy koncentracyjne nie są niemieckim pomysłem – zakładali je już Hiszpanie w 1896 roku na Kubie, a także Anglicy, podczas drugiej wojny burskiej (1899-1902). W obozach zginęło wówczas 28 tysięcy kobiet i dzieci, które głodzono, aby złamać ducha walecznych mężów i ojców. Natomiast w niemieckich obozach koncentracyjnych w Lűderitz zginęły tysiące Herero i Nama. Bunt Herero zakończył się nieomal całkowitym unicestwieniem tego plemienia. Tych, których nie zamordowano z broni palnej, zamykano w obozach albo pędzono na pustynię, gdzie umierali z głodu i wycieńczenia. Nieliczni, którzy ocaleli, mieli służyć niemieckim panom. Jak w nieodległej przyszłości, przeprowadzano tutaj eksperymenty na więźniach. Gdy niemieccy kolonizatorzy, mieszkający w nieodległym Lűderitz, wiedli swoje zwykłe, codzienne życie, doktorzy – Bofinger oraz Eugen Fischer – selekcjonowali

więźniów, zabijali ich, a ich głowy konserwowali w formalinie i wysyłali do Berlina. Tych skatalogowanych i opisanych głów było ok. 780… Dopiero w 2001 roku, na prośbę ludu Herera i rządu niepodległej Namibii, szczątki ofiar zostały zwrócone ich potomkom. A co się stało z doktorem Fischerem? Jak się nietrudno domyślić, był podczas II wojny gorącym zwolennikiem Adolfa Hitlera i odpowiadał za wdrożenie programu rasowego NSDAP. Po wojnie, mimo że był odpowiedzialny za śmierć ok. 70 tys. ludzi, udzielał się naukowo, a nawet został członkiem Niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego. Zmarł, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności w 1967 roku.



Zabytkowe domy w Luderlitz, fot. Wojciech Rogala.



Pomnik na terenie dawnego obozu koncentracyjnego w Swakop, fot. Wojciech Rogala.

Autor nie tylko opisuje wydarzenia, snuje także refleksje, inspirując czytelników do tego samego. Intryguje go, jak ludzie charakteryzujący się taką pracowitością i samozaparciem, dzięki którym wznieśli piękne miasto na skraju pustyni, byli jednocześnie wierzący i ślepi moralnie, skoro nie odczuwali żalu ni skruchy z powodu tego, co się wydarzyło.

Refleksje o życiu i doświadczenie pustki

Refleksje towarzyszą autorowi nie tylko w odniesieniu do przeszłości, która jest zresztą namacalnie obecna w postaci pomników i architektury. Doświadczenie podróży, poznanie różnych ludzi oraz miejsc także stają się punktem wyjścia do istotnych rozważań. Wiele z nich pozostaje pod wpływem tej sugestywnej lektury w pamięci. Wojciech Rogala ma tę wrażliwość i uważność, która pozwala z obrazów, wydawałoby się, banalnych wysnuć nieomal filozoficzne rozważania.



Felsenkirche (1912), kościół na skałach w namibijskim mieście Luderitz, fot. David Stanley.

Pierwszy taki obraz, który zapamiętałam, to scena z namibijskiego kurortu – Swakopmundu. Reporter obserwuje wiekową białą kobietę, która porusza się za pomocą „balkoniku", asekurowana przez czarnoskórą opiekunkę. Potem starsza pani, już w kostiumie kąpielowym, zmierza z wielkim trudem, już bez niczyjej pomocy, w kierunku oceanu. Po chwili zanurza się w lodowatej wodzie, która sprawia, że jej ciało staje się na ten czas sprawne jak niegdyś.

> Nie widziałem już ułomnej, starej kobiety – pisze autor – lecz siłę woli, charakter, triumf duszy nad ciałem. I dodaje: Czy człowiek jest tylko tym, co widzimy na zewnątrz? Czy nie zapominamy o tym, co naprawdę jest istotne, przez pryzmat

> jakich postaw i działań powinniśmy oceniać innych ludzi? Czy wszechobecna dbałość o naszą powierzchowność nie zasłoniła nam tego, co jest istotą nas samych?

W innym miejscu, obserwując roślinność, ubolewa nad tym, że współczesny człowiek żyje chętniej w wirtualnym niż w realnym świecie, a tymczasem mądrość czerpiemy właśnie z obserwacji prawdziwego świata. Opisuje np. roślinę pustynną – welwiczię, która może przetrwać bez wody długie miesiące. Jej liście zamierają na swoich końcach, by zmniejszyć zapotrzebowanie na wodę podczas wyjątkowo suchych okresów.

> Rośliny nauczyły się poświęcenia – konstatuje. Nauczyły się, że warto poświęcić coś, nawet cząstkę siebie, aby móc uratować życie.

Rogala pisze także o osobistym doświadczeniu pustyni. Przerażająca pustka i nicość, która zarazem pociąga i kusi.

> Czułem się – pisze – jakbym stąpał po obcej planecie. Pustka obejmowała mnie zewsząd, byłem sam na sam z nicością. Nie chciałem wracać, pustynia mnie wciągała. Czułem wielki spokój, było mi tak dobrze. Nie ma nic i to jest piękne.



Lüderitz, małe Niemcy w Afryce, fot. W. Rogala.



Zabytkowy budynek dworca kolejowego w Luderitz, fot. Wojciech Rogala.

Spotkałem ludzi niezwykle bliskich

Reportaż Wojciecha Rogali obfituje także w liczne rozmowy z ludźmi, które pozwalają spojrzeć na pewne wydarzenia oraz na historię Namibii oczami jej białych mieszkańców, dostrzec różne stanowiska, często bardzo odległe od oficjalnych, „jedynie słusznych”. Dzięki nim przestajemy patrzeć na Afrykę

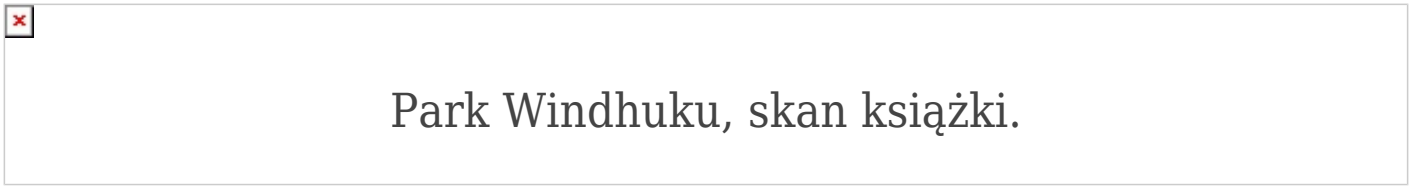
stereotypowo, dzieląc jej mieszkańców na „dobrych” czarnych i „złych” białych.

Autor jest nie tylko cierpliwym i otwartym słuchaczem swoich licznych rozmówców, posiada także i tę zaletę, że nawiązuje z nimi głębsze więzi. Jest to rodzaj najpiękniejszej części jego afrykańskiej przygody, a myślę, że każdej przygody, kiedy okazuje się, że – zupełnie się tego nie spodziewając – natrafiliśmy na kogoś, kto okazał się bliski i serdeczny. Otóż poszukując pogardzanych potomków białych osadników – Basterów, reporter trafia nie tylko na ogromnie ciekawą społeczność, żyjącą w Rehoboth, skupioną wokół kościoła, ale również poznaje ich skomplikowaną historię i zaprzyjaźnia się z Julią, osobą niezwykle serdeczną i ciepłą.

> Szukałem innego świata, ginącej kultury – konstatuje – resztek znikającego narodu, a spotkałem ludzi, którzy, mimo że mieszkają tysiące kilometrów od Polski, mają inny kolor skóry, są nam niezwykle bliscy, mają wręcz dziwnie znajome, właściwie tożsame doświadczenia. I dodaje: Wewnętrzne ciepło drugiej osoby, jej bezpośredniość i otwartość łamią wszelkie granice i odległości.

„Witamy w białej Afryce” jest fascynującą podróżą w towarzystwie pisarza, który z wielką pasją i talentem

wtajemnicza nas w jej historię i teraźniejszość. Skwapliwie i z ochotą podąża się za takim przewodnikiem, który snuje swą opowieść, nie szczędząc nam niczego, co pozwoliłoby uruchomić wyobraźnię, refleksję i – koniec końców – tęsknotę, aby tam pojechać i doświadczyć.



Park Windhuku, skan książki.

Książka Wojciecha Rogali: „Witamy w białej Afryce” ukazała się w Wydawnictwie Muza, 2017 r.